Rok VI. 1 Stycznia 1934. Nr. 1

DZWONECZEK



Nowy rok bieży — w jasełkach leży...

Oto naprawdę zaczął się nam nowy rok, nowy rok nadziei, pragnień, życzeń wszelakiego dobra, wszelkich radości i szczęścia. Dopiero się narodził ten roczek nowy, maleńkie z niego zaledwie niemowlątko, a mybyśmy już chcieli, aby nam przyrzekł odrazu wszystko, co nam się tylko w duszy zamarzy. Ale niemowlątko mówić jeszcze nie umie, aby nam odpowiedzieć na nasze wołania.

Tymczasem z poza nas, z oddali głos jakiś dolata... słyszycie? Nastawmy więc uszu — wszak to do nas ktoś mówi:

— I ja byłem niegdyś takim upragnionym przez Was, wyglądanym z radością nowym rokiem życia... I ode mnie spodziewaliście się wszystkiego najlepszego dla siebie, cieszyliście się mną i kochali mnie... A dzisiaj — patrzcie, odchodzę od Was smutny, bez podzięki, bez błogosławieństwa Waszego na drogę wieczności...

Biedny smutny stary rok! Zastanówmy się nad tem, kto winien tej jego smutnej doli, on sam, czy może... my? Ach, przecież on taksamo jak ten młodziutki nowy rok, urodził się nam w radosny czas, kiedy to świat cały rozbrzmiewał kolędą o Bożej Dziecinie... Urodził się nam w mroźną zimową noc, a pierwszem jego słowem, jakiem powitał życie, było imię najświętsze: JEZUS. Czyliż więc mógł chcieć naprawdę być dla nas niedobrym? Jeśli zatem nie on, to któż?

To my... to my wszyscy, którzyśmy nie odpowiedzieli mu temsamem na jego powitanie imieniem. A więc to nasza wina, że smutny odszedł od nas tamten stary rok. Zwróćmy się przeto do tego nowego roku, co jeszcze dopiero niby niemowlątko w jasełkach leży — i zawołajmy serdecznie:

Witamy ciebie, ty Nowy Roku Boży, co z imieniem Jezusa do nas przychodzisz. Witamy ciebie temsamem na ustach i w sercu imieniem....

JEZUS, JEZUS niechaj będzie twojego i naszego życia hasłem nieodmiennem!

JEZUS, JEZUS niechaj zaczyna i kończy każdy dzień, jaki nam z kłębka swego odwiniesz!

JEZUS, JEZUS niechaj nam towarzyszy i wtedy, gdy podobnie jak ów rok stary, odchodzić będziemy w błogosławioną wieczność.

Chodzi Jezus malutki...

Noc zimowa .. śnieżyca...
Wiatr z północnej dmie strony,
Tylko światło księżyca
Przez chmur pada opony...

Wyją wilki po lesie, drży bór głuchy sosnowy, a wichura w dal niesie grozę nocy zimowej...
W tę noc ciemną i groźną, co kir czarny rozpina, drogą śnieżną i mroźną idzie mała dziecina. Dziwny blask jej u czoła promieniami się żarzy, choć bez skrzydeł anioła, wdzięk anielski ma w twarzy.
I podnosi rączęta ponad jasne swe czoło, błogosławiąc zwierzęta i twór wszelki wokoło. I te chaty wieśniacze, i te sady i drzewa, i to dziecię, co płacze, i to dziewczę, co śpiewa...
I ten krzyżyk przy wiosce pochylony nad miedzą, i tych ludzi, co w trosce swój powszedni chleb jedzą.

I tak kojąc ich smutki,
Z jasną gwiazdką nad głową
Chodzi Jezus malutki
W tę noc śnieżną zimową.

Śliczny ten wierszyk napisał poeta *Władysław Bełza*, tensam, który ułożył znany „Katechizm polskiego dziecka" zaczynający się od słów „Kto ty jesteś? — Polak mały". Właśnie minęło lat 20 od śmierci tego przyjaciela młodzieży, toteż we Lwowie na kamienicy, w której długo żył, pracował i umarł, wmurowano tablicę ku jego pamięci.

Zima — czarodziejka

Jak każda pora roku, taksamo i zima przynosi nam dużo piękna w przyrodzie. A już niekiedy potrafi świat cały zamienić w przecudną bajkę. Bywa, że wieczorem dnia poprzedniego nic jeszcze nie zdradza jej zamiarów, ale niechno tylko cicha nastanie noc, zaraz zabiera się do roboty, aby się od wczesnego świtu pochwalić przed nami, jaka to z niej artystka. I rzeczywiście, wyszedłszy rano z domu, stajemy oczarowani obrazem, jaki się przed nami roztacza. Wiemy, że nocą śnieg nie padał, więc to nie gruba okiść śnieżna, co gałęzie obciąża, a tu każde drzewo, każdy krzaczek, każde nawet źdźbło trawy ocalałe jeszcze z jesieni, odziane zostało przez tę zimę — czarodziejkę w cudowną białą sukienkę, tak delikatną, że nie potrafiłaby jej zrobić żadna prządka.

Najpiękniej jednak w takich razach przedstawia się las, a zwłaszcza szpilkowy. Każda igiełka, każda szpilka świerka czy sosny otulona ni to śniegiem ni lodem, raczej jakby jakimś puchem cukrowym. A gdy jeszcze zaświeci słońce i rzuci na to wiązkę promieni, cały świat wydaje się obsypany pyłem brylantowym. Ale właśnie wówczas najprędzej grozi tym czarom zagłada, gdyż ciepło słoneczne topi szybko puchy zamrożone nocą.

Warto wiedzieć, jakim sposobem się one tworzą i dlaczego nie mamy tak pięknych widoków codzień, lecz właśnie dosyć rzadko. Otóż owa szadź, zwana

także sędzieliną, powstać może tylko wtedy jeżeli podczas mrozu przepłynie skądeś fala powietrza nasyconego parą wodną. Ona to wtedy, ta para, krzepnie w postaci puchów na każdem drzewie, krzaku, gałązce, listku czy igiełce, strojąc wszystko w szaty nieskalanie czystego szronu. Wystarczy jednak najmniejszy podmuch wiatru, czy poruszenie gałązki przez wróbla, sikorkę lub szczygiełka, skok wiewiórki z konara na konar, a już zaraz sypią się na ziemię srebrne pyłki — i rozwiewa się obraz, nad którym pracowała tajemnicza czarodziejka.

Trzeba więc chwytać taką chwilę piękna i umieć podziwiać cuda, jakie naszym oczom Dobry Bóg maluje ręką białej zimy.

Złoty trzewiczek

Imię królowej Jadwigi rozbrzmiewa teraz po całej Polsce, która przez Biskupów błaga Papieża, by policzył ją w poczet świętych Kościoła. Niechaj więc każda opowieść o jej świątobliwem życiu roznieca w sercach naszych miłość ku tej przyszłej Patronce Polski.

Gdy królowa Jadwiga wraz z mężem swoim, Władysławem Jagiełłą, pomagała duchownym w nawracaniu Litwinów na wiarę chrześcijańską, poganie ci, nie znając jeszcze swojej anielskiej pani, posądzali ją, że ona podburza przeciwko nim króla. Postanowili więc zapomocą czarów ściągnąć na nią straszliwy gniew swoich bogów. Potrzebny im był jednak do tego trzewiczek królowej. Namówili więc młodziutką dziewczynę, by go wykradła. Schowana za ciężką zasłoną, czekała Litwinka, kiedy pani położy się i zaśnie. Ale Jadwiga, zapaliwszy lampę przed wizerunkiem Zbawiciela Ukrzyżowanego, uklękła i zaczęła się modlić żarliwie, błagając Pana o zmiłowanie się nad niewiernym ludem i o siły dla siebie do znoszenia wszystkich smutków i ciężarów życia. Poczem głowa królowej pochyliła się ku samej ziemi, a z oczu płynąć zaczęły strugi łez.

Wzruszyło się na ten widok serce młodej poganki, zgięła również kolana i łkać głośno zaczęła. Zapytana przez królowę, co tu robi, wskazywała tylko ciągle na ołtarzyk, dając do poznania, że i ona chce się nauczyć tak modlić. Zaopiekowała się nią królowa, kazała uczyć ją po polsku i sama zaznajamiała ją z prawdami wiary chrześcijańskiej.

Raz w czasie takiej nauki powstało wielkie na dworze królewskim zamieszanie, gdyż spostrzeżono brak złotem haftowanego trzewiczka. Wtedy Litwinka opowiedziała wszystko, czego od niej żądano, grożąc śmiercią; jak ona się na to zgodziła i jak wreszcie, widząc panią modlącą się do Chrystusa, sama zapragnęła zostać Jego wyznawczynią. Skoro jednak udało się poganom dostać w jakiś inny sposób trzewiczek królowej — prosiła — niechaj czemprędzej gońcy odbiorą im zdobycz, która w rękach czarowników ściągnie nieszczęście na dobrą królowę. Sama obiecywała wskazać miejsce wśród lasu, gdzie poganie składają ofiary swoim bogom i domagała się srogiej na nich kary.

Ale królowa, pouczywszy dziewczynę, jak inaczej każe postępować z wrogami Bóg chrześcijański, zażądała, aby ją tam zaprowadziła. Nie pomogły prośby Litwinki, by królowa nie narażała się na niebezbieczeństwo. Skoro tylko zmrok zapadł znalazły się obie wśród gęstwiny starego dębu, gdzie właśnie przed posągiem pogańskiego bożka, wśród ponurych śpiewów, kapłan trzymał nad ogniem złoty trzewiczek i wygłaszał straszliwe przekleństwa.

Dziewczyna zadrżała z przerażenia, ale królowa uspokoiwszy ją, wyszła sama z zarośli. Poganie myśląc, że za nią wypadną na nich jej rycerze, zaczęli szybko gasić ognisko i uchodzić w głąb lasu. Wtedy Jadwiga zawołała ku nim po litewsku:

— Zaczekajcie! Nic wam się złego nie stanie, wszak idę do was bezbronna.— Na te słowa zatrzymali się poganie, a królowa stanąwszy wśród nich, mówiła dalej: — Widzicie jak bezpiecznym czuje się ten, kto zaufał Bogu chrześcijańskiemu. Otom przyszła do was, nie mając innej pomocy nad Jego opiekę, na dowód, że się waszych czarów ni bogów waszych nie lękam. Wzywaliście pomsty na mnie, ale ja was kocham jak braci i pragnę tylko, abyście zamiast czcić bałwana drewnianego, uwierzyli w Boga prawdziwego. Jako królowa mogłabym was wszystkich śmiercią pokarać, ale przebaczam i nawet drugi złoty przynoszę wam trzewiczek.

Dzikich Litwinów ta dobroć i słodycz królowej przejęła do głębi, padli na kolana przed swoją panią, całując stopy jej i szaty. W kilka dni później ochrzczeni, stali się najgorliwszymi wyznawcami wiary Chrystusowej i zawsze mówili później, że do ich nawrócenia przyczynił się właśnie trzewiczek królowej.

J. W.

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.

I.

Już trzeci raz zabieram się do pisania pamiętnika. Lecz zawsze poprzednio po kilku dniach zaprzestawałem spisywania swoich wrażeń, bo mi brakło wytrwałości. Teraz przyrzekam sobie poprawę. Zresztą dziś nie jestem już tymsamym Jankiem, który wówczas odgrażał się dziecinnie, iż codzień będzie utrwalał na papierze wszystko, cokolwiek zobaczy i usłyszy.

Pierwszym razem obiecywałem sobie pisać taki poufny dzienniczek, kiedy miałem zaledwie lat dziesięć. Chwila to była uroczysta dla mnie, bo opuściwszy wieś rodzinną, przyjrzałem się zdumionemi oczyma miastu: poznałem Warszawę, do której posłała mnie własnym kosztem zacna dziedziczka Borówki, nieboszczka pani Dembińska. Zaraz w parę godzin po przyjeździe zapisałem się tam do szkoły, a nazajutrz, kupiwszy książki i zeszyty, przeznaczyłem jeden kajet na pamiętnik. Ile w nim kartek zapisałem i co w nich było — nie pamiętam, a nawet sobie nie przypominam, gdzie się to podziało.

Po raz drugi zasiadałem do pisania dziennika własnych zdarzeń już nie dzieckiem, mimo lat bardzo młodych. Dobrze pamiętam tę chwilę tak nie dawną i tak ważną. Było to na okręcie, który z Europy wiózł na drugą półkulę setki chłopów z Polski. Moja dobrodziejka już nie żyła i po trzech klasach, nie miałem się za co kształcić dalej w Warszawie. Ojcu zaś bieda strasznie dokuczała, więc za namową sąsiadów sprzedał zagrodę i zabrawszy żonę i dzieci, popłynął do Ameryki szukać lepszej doli. Wziął mnie z soba, licząc na to, że moje wiadomości szkolne pomogą całej rodzinie w dalekiej podróży po obcym świecie i ułatwią pobyt w Brazylji. Niestety, nie na wiele się przydałem. Gdybym nawet więcej umiał, nie wiem, czy byłbym co zaradził, by ulżyć biednym rodzicom w tem piekle brazylijskiem, w którem męczyliśmy się przeszło rok daremnie.

Co za szkoda, że nie mogłem spisywać tego dzienniczka, zaczętego na okręcie w podróży do Ameryki! Ale gdzież tam był czas i spokój na pisanie wśród owych strasznych przejść, jakie nas gnębiły nieustannie. Co innego teraz. Jestem pewny, że nietrudno mi będzie notować tutaj swoje wrażenia prawie codzień. Szkoda nawet doprawdy, żem tego nie zaczął wcześniej, choćby z chwilą opuszczenia Brazylji. Zawsze lepiej później, niż nigdy, a chyba nic nie może być zapóźno, gdy się ma dopiero lat piętnaście. *C. d. n.*